

Zygmunt Bauman, Sławomir Czapnik

Jak słowo ciałem uczynić.

Z Zygmuntem Baumanem rozmawia Sławomir Czapnik

Zacznijmy od fundamentalnej sprawy. Od kilkunastu lat opisuje Pan postępujący rozwój władzy i polityki (Bauman 2007: 8) i postuluje stworzenie uniwersalnej, ogólnoludzkiej jednostki politycznej, gdyż „Nie da się już dziś skutecznie bronić demokracji, bezpieczeństwa, praw ludzkich w jednym z osobna wziętym, choćby nie wiem jak potężnym, kraju” (Bauman 2006b: 27). Czy mamy do czynienia z czymś, co można nazwać myśleniem teleskopowym, czyli dostrzeganiem rodzącej się tendencji, która w przyszłości będzie dominowała? Tak czy inaczej nawet najpotężniejsza korporacja nie jest w stanie zastąpić banku centralnego w emitowaniu pieniędzy, zaś – co jednoznacznie wykazał rozpoczęty w 2007 roku kryzys. Kluczowe państwa chętnie wspomagają je wielomiliardowymi zastrzykami gotówki, tej samej, której podobno nie ma dla ubogich. Znaczenie mają również chronione przez państwa prawa patentowe. Do myślenia daje też kampania celowanych zabójstw: Stany Zjednoczone mogą ją prowadzić w Somalii czy Afganistanie, ale nie w Rosji czy Chinach. Straszak, którego używają klasy panujące, w postaci ucieczki do bardziej uległych państw, też jest mało przekonujący: dowodzi tego sytuacja brytyjska, wdrożenie podatku 50 proc. dla najbogatszych miało ich skłonić do ucieczki gdzie indziej – nic takiego się nie stało; wręcz przeciwnie, zapłaciło go więcej podatników niż się spodziewano, gdyż do kraju wróciło wielu menedżerów, zwolnionych z pracy w innych państwach.

- Zachodzę w głowę nadaremnie z czego wywnioskował Pan, iż „od kilkunastu lat” „postuluje stworzenie uniwersalnej, ogólnoludzkiej jednostki politycznej”... Jeśli już cokolwiek od kilkunastu, a pewnie i kilkudziesięciu lat czynię, to powtarzam z natchnienia Karla Jaspersa, że państwo globalne czy światowe (jeśli do jego stworzenia doszło) byłoby koszmarem upiorniejszym chyba od wszelkich znanych z historii ciemnic i kazamatów tudzież wszystkich zasmakowanych jak dotąd czy wymyślonych przez najprzenikliwszych autorów dystopii totalitaryzmów (no bo nie byłoby dokąd uciekać: posterunki graniczne można obejść – uspić, skosić automatem, przekupić lub wystawić do wiatru, ale co jeśli granice wraz z posterunkami polikwidowano?!). Wielowymiarową różnorodność rodu ludzkiego uważam natomiast nie tylko za jego nieodrodne znamię jakie

mogłoby szczeznąć li tylko wraz z człowieczeństwem, ale i za jedną z najważniejszych cnót – bodajże meta-cnotę, z jakiej wszystkie pozostałe się wywodzą i bez której nie mogłyby się wyłonić i – oby – zakorzenić.

Nie wiem więc, jakiej to tezy ilustracjami mają być przez Pana zebrane obserwacje. Jeśli są zebrane pod kątem sprzeciwu wobec mojego twierdzenia o wzajemnej separacji czy nawet rozwodzie mocy z polityką – to chybiają celu. Bo jeśli prawdą jest, że „nawet najpotężniejsza korporacja nie jest w stanie zastąpić banku centralnego w emitowaniu pieniędzy”, to nie wynika stąd, że nie może ona zastąpić krajowej polityki w wyborze celów, jakim owa polityka ma służyć. Całkiem ostatnio zbiorowa (a eksterytorialna, spod kontroli „terytorialnie suwerennych państw” skrzętnie wyluskana) moc Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Banku Międzynarodowego, światowych giełd i zerwanych ze smyczy finansów swobodnie krążących po „strefie przepływów”, niebotycznej dla wszystkiego co utkwilo w „strefie miejsc” (patrz Manuel Castells), bez wielkiego wysiłku zdołała sprowadzić na nice ustalenia greckich wyborów, greckiego parlamentu i woli greckiego narodu. Politycy (a tylko lokalnych, *glebae adscripti* polityków mamy dziś do dyspozycji, gdy trzeba wolę zbiorowości w czynny przeobrazić) podejmują swe decyzje w piątek, a potem z drzeniem serca czekają na otwarcie giełd w poniedziałek, by się dowiedzieć, czy mają one jakąś szansę spełnienia. Moce uwolnione z pod kontroli polityki mają za przeciwnika politykę cierpiącą na chroniczny deficyt mocy; nie dziw, że rezultat konfrontacji jest z reguły przesądzony. Pisze też Pan, że „państwa chętnie wspomagają je wielomilardowymi zastrzykami gotówki”; chętnie czy zgrzytając zębami (zależnie jakiego odcienia partia chwilowo zasiada w urzędach ministerialnych), ale z pewnością dlatego, że państwa spełniają wolę banków, a nie odwrotnie – i biada im, jeśli zapragną ów stosunek władztwa odwrócić. Sankcje jakimi dysponują moce globalne – wycofania kapitału do krajów o bardziej spolegliwych (lub przekupnych) rządach i i mniej zadzierającej nosa „sile roboczej” są też zaprawdę nie „mało”, jak Pan sugeruje, ale aż nadto „przekonujące” (za wyłączeniem, rzecz jasna, firm usługowych, które podobnie tym, którym „usługują”, są do miejsca uwiązane; ale te znów wetują sobie swój ruchliwość sprowadzaniem potulnej „siły roboczej” z terytoriów, do jakich same przenieść się nie mogą, czym otwarcie lub cichaczem krzyżują ograniczenia, jakie lokalne rządy planują pod ciśnieniem swych wyborców, w większości ksenofobicznych, a nadto stroniących od wszystkiego od czego zalatuje globalizacją). Stany Zjednoczone wysyłają swe mordercze trutnie gdziekolwiek zechcą, z wyjątkiem krajów w jakich mocy odpowiadanie pięknym za nadobne; dlaczego ta kalkulacja ryzyka miałaby przeczyć tezie o potężnieniu mocy proporcjonalnym do obezwładniania polityki?! Itd., itp....

Łatwiej dziś wyobrazić sobie koniec świata – w tym, coraz częściej, jako dzieło rąk ludzkich – niż koniec kapitalizmu. Zdarzają się jednak myśliciele, którzy wieszczą jego nieuchronny

kres, co nie jest niczym nowym, wszak już pół wieku temu Stanisław Staszewski (skądinąd ideowy komunista) śpiewał o tym, „jak się Zachód płacze w pętach kapitału/ I jak do ruiny zbliża się pomału”. Niektórzy, jak Wallerstein, są na tyle przytomni, by wyznaczać kres kapitalizmu na lata, kiedy już nikt ich osobiście rozliczać z prognoz nie będzie. Czy jednak nie jest tak – czego nie wyklucza sam Wallerstein – że kapitalizm może zostać zastąpiony przez znacznie gorszy system, pozbawiony jego zalet (uogólniając, ucieleśnianych przez liberalną demokrację), lecz mający praktycznie wszelkie wady. Może ponure wizje Philipa K. Dicka, którego *idée fixe*, była faszyzacja Stanów Zjednoczonych, są ową przepowiednią, którą stawia się w nadziei, aby się nie spełniła? Wszak nadzieja jest dana tym, którzy właśnie nadziei są pozbawieni.

- Przepowiedniami krachu i kresu kapitalizmu prorocy i jasnowidze od czasu Saint-Simona i Fouriera sypali jak z rogu obfitości, i czynią to nadal (niektórzy, na podobieństwo dzisiejszych uczonych, łaknąc potwierdzenia ich wróżbiarskich ambicji – inni zaś, na wzór biblijnych proroków, pragnący, by ich mroczne wizje zadziały jak samonegujące się przepowiednie). Ale po każdej kolejnej porcji takich wieszczb czy prognostyk kapitalizm odradzał się, idąc za przykładem legendarnego Feniksa, z faktycznych czy wydumanych popiołów – choć w nieco innej, odświeżonej postaci.

Parę dni temu Anatole Kaletsky (2016) wystąpił z nową wersją takiego właśnie widzenia rzeczy. Dzieląc dzieje kapitalizmu na cztery fazy, pierwszą scharakteryzował jako czas współistnienia gospodarki i polityki samopas obok siebie, bez szczególnej gorliwości mieszania się w sprawy sąsiada a tym bardziej narzucania mu swej woli. Drugą – rozciągniętą of katastrofy wojny światowej 1914-1918 roku do rewolucji Friedmana/Thatcher/Reagana, jako okres czynnej interwencji państwa w funkcjonowanie gospodarki i poniekąd ratowania kapitalizmu przed zgubnymi następstwami jego swawoli. Trzecią – trwającą aż do załamania się systemu kredytowego w 2008 roku – jako czas puszczenia wodzów gospodarce, wycofywania się państwa z prób jej regulacji, i przenoszenia nadziei z państwa kontrolującego gospodarkę na rynki uwolnione z państwowej ingerencji krępującej ich wrodzoną logikę. Dziś, dla odmiany, nie pokładamy już nadziei w zwierzchnictwie żadnej z dwu stron, ani też w ich wzajemnym odosobnieniu i wzajemnej niezależności. Jak powiada Kaletsky (2016),

„Czwartą fazę definiuje świadomość, że zarówno rządy jak rynki mogą być tragicznie w błędzie... Jeśli świat jest zbyt skomplikowany i nieprzewidywalny na to, by rynki lub rządy zdolne były do osiągania celów społecznych, trzeba wypracować nowy system kontroli i równoważenia umożliwiający politycznym decyzjom ograniczanie bodźców gospodarczych i vice versa”

Skłonny jestem w tej sprawie z Kaletskym zgodzić – choć w pełnej z nim zgodzie przeszkadza mi

słowo „trzeba”, umieszczające problem w sferze powinności, a nie zaszłości czy widocznych już tendencji. U schyłku życia borykam się wciąż, nadal nadaremnie, z misterium czynienia słowa ciałem. Nie zdołałem posunąć się poza wysiłek „hermeneutyki socjologicznej” – czyli interpretacji postaw ludzkich i wzoru ludzkiego zachowania jako reakcji na bodźce życiowego doświadczenia, będącego z kolei refleksem ich usadowienia społecznego, tudzież ducha i praktyk tego typu społecznych relacji, w jakim żyć im wypadło. Szkopuł w tym wszakże, iż możliwych teoretycznie reakcji na te same bodźce jest z reguły wiele, która reakcja przeważy i a które dołączą się zastępów idei i zamiarów niespełnionych zależy od ludzkich wyborów, i przewidzenie jak się dalej historia potoczy jest zadaniem karkołomnym. Maksymę, że ludzie tworzą historię ale nie w warunkach przez siebie wybranych, hołubię jako jedno z najbardziej sprawdzonych twierdzeń Marksa. Przychyłam się też do konkluzji Vaclava Havla, który przerastał doświadczeniem „tworzenia historii” olbrzymią większość swych współczesnych w tym rzecz jasna i mnie – że aby przewidzieć dzieje trzeba wiedzieć (jak się ów pisarz i dramaturg poetycko wyraził), jakie pieśni naród skłonny jest śpiewać, z tym wszakże zastrzeżeniem, iż nie da się przewidzieć jakie pieśni tenże naród śpiewać będzie za rok...

Jeden – wyjątkowo aktualny – powód do zakłopotania: w dzisiejszym wydaniu *New York Timesa* dwaj bystrzy obserwatorzy, Andrew Brooks i Gail Collins (2016), stwierdziwszy, iż trwający dziś w Ameryce kryzys „spowodował efektywnie zeroprocentowy wzrost ekonomiczny dla dolnych czterech piątych ludności”, z miejsca zauważają, że to samo zjawisko zrodziło „Trumpizm” na równi z „Sandersizmem”... I mają z pewnością rację.

Jest Pan i socjalistą, i liberałem. Zastanawiam się jednak, próbując ogarnąć Pana myśl – od czasów marksistowskich po obecne – czy nie można określić Pana mianem, ukutym przez Pana przyjaciela Leszka Kołakowskiego: konserwatywnym socjalistą i liberałem. Gwoli ścisłości, konserwatystą poświeceniowym, wierzącym w możliwość postępu, choć obawiającym się również regresu. Jednocześnie do myślenia daje, że wśród miłośników Pana myśli nie brakuje anarchistów, radykalnie odczytujących Pana wstrzeźliwość wobec instytucji państwa. Obecnie uznaje Pan państwo za część problemu, a nie jego rozwiązanie. Jest to poniekąd uprawnione, ponieważ – analogicznie do panteizmu i ateizmu – wizja ogólnoludzkiej wspólnoty politycznej jest nie tak odległa od anarchizmu, skoro owa wspólnota nie będzie miała żadnej politycznej konkurencji. Czy w Pana wizji socjalizmu jako utopii w działaniu (Bauman 2010) znalazłoby się miejsce dla konserwatystów i anarchistów?

- Kto raz sparzył palce, dmucha na zimne. Miast biegać od „-izmu” do „-izmu”, w tym drugim szukając maści na poparzenia spowodowane tym pierwszym, dość wcześnie w mym nieznośnie długim życiu postanowiłem unikać *wszelkiego* „-izmu” jak diabeł święconej wody; tuszę, że

postanowienia tego udało mi się dotrzymać. Nawiasem mówiąc, propozycja konserwatywno-liberalno-socjalistycznej międzynarodówki Leszka Kołakowskiego, nie tylko wielkiego mędrca, ale i wyborczego dowcipnisa, była w zamyśle i w wykonaniu manifestem na rzecz skasowania „-izmów”, a przeciw zniewoleniu umysłów, jakie każdy z nich na swój sposób ale z podobnie niesympatycznym rezultatem krzewi w wyzwoleniu się odeń przeszkadzając.

„-Izmy” są jedną z manifestacji postrzegania świata w kategoriach „my” a „oni”, a ściślej „my” przeciw „onym”. Każdy „-izm” dorabia różnice nie do pogodzenia do wprzódycy przeciągniętych granic, tworzy enklawy ze szczelnie zabarykadowanymi drzwiami, a często i pozbawione okien, i wzywa do okopywania się i broni przed wychodzeniem z okopów. Widok świata z perspektywy „-izmu” jest wszakże iluzją. Świat kształtowany i zamieszkały przez ludzi od tej iluzji odbiega. Próby narzucenia temu światu spójności i schludności do jakiej „izmatycy” dążą i jaką się szczycą, nie mogą się powieść (co nie znaczy niestety i nie będą bez końca ponawiane).

Innymi słowy: wszystkie „-izmy” są typami idealnymi zrodzonymi na biegunach osi, zaś wszelka myśl usiłująca pochwycić w sieć pojęciową nieuleczalną wielopostaciowość i wieloznaczność rzeczywistości (ludzkiej w szczególności) *volens nolens* musi szukać sobie miejsca gdzieś pomiędzy biegunami. Ze przypomnę: Leszek był również autorem „Pochwały niekonsekwencji” (Kołakowski 2002) – pamfletu na usztywnianie przypisań i paraliż myśli żeń powstały. Ale by ochronić swe stanowisko przed zakwalifikowaniem go przez Pana do „anty-izmizmu”, oświadczam iż za moje ustawiczne „mieszanie gatunków”, niechęć do krańcowości czy bezapelacyjności w głoszeniu prawd i alergię na „prawdy jedyne” przyjmuję osobistą odpowiedzialność, całkowicie i bez reszty. Krótko mówiąc: nie należę do żadnej „szkoły”. O szkołach mógłbym co najwyżej powtórzyć to frazę przypisywaną Arystotelesowi: *Amicus Plato, sed magis amica veritas*. Więc w odpowiedzi na Pana pytanie: tak, znalazłoby się miejsce w tej książce – jak znajduje się w życiu...

Gdyby w czasach Arystotelesa kilkudziesięciu najbogatszych ludzi w danym greckim *polis* posiadałoby majątek większy niż połowa najbiedniejszych jego obywateli, zapewne nigdy nie określił by on jej mianem demokracji, lecz oligarchii. Organizacja Oxfam ujawniła, że 62 najbogatszych ludzi na świecie ma majątek równy biedniejszej połowie ludzkości, zaś górny 1 proc. posiada więcej niż pozostałe 99 proc. (Elliot 2016). Wszystko wskazuje na to, że kapitalizm działa dokładnie tak, jak przewidział Karol Marks – koncentracji bogactwa na jednym biegunie towarzyszy koncentracja ubóstwa na drugim. Neoliberalizm, powtórzmy za Davidem Harveyem, miał dwa podstawowe cele: a) ożywienie kapitalizmu i b) restaurację władzy klasowej. Pierwszy, mierzony bożkiem wzrostu gospodarczego, nie został osiągnięty, natomiast drugi – jest już ponurym faktem. Czy mógłby Pan wyjaśnić, jak rozumie dynamikę niebotycznie rosnących nierówności ekonomicznych, za którymi idzie brak egalitaryzmu w

sferze społecznej, kulturowej czy politycznej, wyzucie z godności miliardów ludzi?

- Pisałem już o tym sporo, więc tylko pokrótce zreasumuję główne dla mnie punkty. Niemalże do upadku muru berlińskiego dyszała w kark kapitalistycznej części świata żywa i żywotna alternatywa dla kapitalizmu, bardziej dla prostego ludu życzliwa, i jej istnienia nie sposób było ignorować (piszę „niemalże”, bowiem stopniowe załamanie się systemu sowieckiego pod ciężarem rozbudzonych przeniżeń ambicji ludzkich, jakim sprostać okazał się nie w stanie, połączone z upadkiem jego autorytetu jako wzoru do naśladowania, zaczął się czas jakiś przed upadkiem muru). Przepowiednia Marksa okazała się samonegującą – miast go obalić, uratowała kapitalizm przed zgubnymi skutkami jego logiki. Gwoli ratowania systemu przed zniszczeniem się Marksowego proroctwa trzeba było narzucać ograniczenia kapitalistycznym zapędom do gromadzenia zysków i dewaluacji pracy. Trzeba było pełne zatrudnienie zadeklarować celem polityki rządowej i w sposób widoczny stosować się do tej deklaracji. Trzeba też było mobilizować zasoby państwowe dla uzupełnienia dochodów klas pracujących w warunkach odmowy lub niemożności uiszczenia pełnej wartości pracy przez jej kapitalistycznych nabywców. Rezultatem łącznym było ulokowanie projektu „państwa dobrobytu” czy „państwa socjalnego” poza podziałem na prawicę i lewicę: uznawali jego potrzebę, lub przynajmniej przystawali na jego zaistnienie, zarówno sprzedawcy jak i nabywcy siły roboczej. „Chwalebne trzydziestolecie” powojenne stało się rzadkim w historii okresem niwelowania nierówności dochodów i posiadłości. Zdawało się przez czas pewien, że udało się poddać nierówność społeczną kontroli a czynnikom ją napędzającym narzucić smycz i kaganek.

Nadzieje te, co tu dużo mówić, okazały się płonne. Nastąpiło zniknięcie namacalnej dla kapitalizmu alternatywy, a wraz z nią potrzeby samoograniczania się kapitalizmu w jego przyrodzonej żądzy zysku. Nierówność społeczeństwa rządzonego zasadą „chwytaj, co możesz” (*catch as you catch can*), czy „każdy za sobą i dla siebie, a do diabła z tymi, co w tyle” (*every man for himself, and devil takes the hindmost*) zaczęła rosnać (i nadal rośnie) niepokonane. Bogatym obcina się podatki, biednym świadczenia społeczne. Ale po szczegóły mechanizmu odsyłam Pana do mojej książeczki „Does the Richness of the Few Benefit Us All” (Bauman 2013).

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia określano Pana mianem „proroka ponowoczesności” (Smith 1999), podczas gdy – wraz z krystalizacją koncepcji *płynnej nowoczesności* (Bauman 2006a) – zaczął się Pan wyraźnie odróżniać od badaczy postmodernistycznych (ponowoczesnych). Wydaje się jednak, że nigdy nie był Pan postmodernistą w sensie braku wiary w istnienie prawdy, nieodmiennym ujmowaniu rzeczywistości w cudzysłów czy też skupianiu się głównie na grach językowych, nie wspominając o uznaniu końca tak zwanych wielkich narracji. Czy po latach nie można

pokusić się, parafrazując opinię Samuela Johnsona o patriotyzmie, o diagnozę, że postmodernizm stał się ostatnim schronieniem szubrawców? Dziś Deleuze i Guattari są przedmiotem zainteresowania izraelskich wojskowych, pragnących jeszcze skuteczniej zdławić dążenia narodowyzwoleńcze Palestyńczyków (Weizman 2007: 199-201). Zdarzają się też w Europie sędziowie, którzy znacznie zmniejszają wyroki dla morderców kobiet, a konkretnie muzułmanów dokonujących tzw. zabójstwa honorowego, ze względu na „nie do pogodzenia różnice kulturowe” (Rose 2009).

- Tu się z Panem całkowicie zgadzam; jednym, choć nie jedynym powodem mojego gwałtownego poszukiwania zastępstwa dla pojęcia „postmodernizmu” (zakończonego wyborem pojęcia „płynnej nowoczesności”) było to, że jakbym usilnie się nie starał stawiać cezurę i podkreślać różnicę między socjologią ponowoczesną a socjologią ponowoczesności, klasyfikowano mnie powszechnie jako „postmodernistę”. Znalazłem się przeto wbrew mej woli w klubie o członkostwo, w którym nigdy się nie ubiegałem i z większością poglądów członków którego (a też ich niefrasobliwym stylem myślenia i pisarstwa) byłem w niezgodzie; przypisywano mi z racji takiego zaszeregowania poglądy i podejścia obowiązujące w klubie, choć ani jednych, ani drugich nie podzielałem.

Nie szedłbym chyba tak daleko, by przystać na opinię że „postmodernizm był ostatnim schronieniem szubrawców” (choćby i z tego tytułu, że szubrawcy są mistrzami w znajdowaniu schronień i bez skrupułów rozgłaszają się w każdym co popadnie), ale pomawiam postmodernistów o nie o wiele bardziej wybaczalny grzech odegrania roli awangardy w trwającym do dziś procesie rozbratu intelektualistów z ich dziejową misją.

Proces ów zapisany być może w historii jako rozstanie się intelektualistów z ludem; masą ubogich w zamożnym świecie, upokarzanych w świecie buńczucznych, pewnych siebie i zadufanych, pozbawionych dojścia do wiedzy wśród światła Oświecenia; tą masą, jakiej zaprzysięgli służbę w imię wydobycia ich z niedoli i upośledzenia. Rozstanie obyło się bez pożegnań czy wypowiedzenia służby; ot, po prostu, kolejna powtórka gestu Poncjusza Piłata: wy tam róbcie, co wam do łba skoczy, najlepiej nic nie róbcie i siedźcie cicho, bo szansa na to, by coś rozsądnego wam do głowy przyszło jest znikoma; a my – intelektualiści – umywamy ręce od waszych spraw, by zająć się własnymi. Np. aktorzy walką o subsydia dla teatrów, akademicy o lepsze uposażenia (ale już niekoniecznie o stypendia dla swych wychowanków, nie wspominając już o bezpłatności wykształcenia) i lepsze dla siebie warunki zatrudnienia.

Obok rezygnacji z działań, które od chwili swego pojawienia się na arenie publicznej zwali swoim powołaniem i za ich pomocą tkali swą pozycję i rolę społeczną (takich jak uświadomienie masom nieuświadomionych rozróżnienia dobra od zła, prawdy od zabobonu, piękna od brzydoty, i dozór nad przestrzeganiem tych różnic w życiu osobistym i pospólnym) – działań jakie przystoją przewodnikom duchowym społeczeństwa i strażnikom jego wartości – zajęły się teraz klasy

oświecone promowaniem i obroną własnych interesów i przywilejów kastowych, a miast troski o przetrwanie wartości wartych trwania propagują i praktykują kulturową wszystkożerność, mierząc nią sensowność i walor – a poniekąd i treść człowieczeństwa. Emancypacja, wyzwolenie z ciemności, wolność (w innym niż osobisty sensie), równość i braterstwo rodu ludzkiego znikło z ich słownika i katechizmu.

Kiedy przestał Pan być przed laty marksistą, dzięki Gramsciemu nie stał się Pan antymarksistą (Bauman, Tester 2003: 38-39). Zgadząc się, że leninowska odmiana marksizmu jest skompromitowana, zarówno teoretycznie, jak i w praktyce bloku państw radzieckich, trzeba stwierdzić, że przyznający się do inspiracji marksistowskich badacze wciąż mają wiele do powiedzenia. Co warte odnotowania, nie tylko o gospodarce czy polityce, ale i o kulturze – wymieńmy choćby trzy ważne postacie: Fredric Jameson, Perry Anderson i (*last but not least*) Terry Eagleton. Cokolwiek o nich nie myśleć, nie sposób zarzucić im redukcjonizmu i wszechmocnego determinizmu ekonomicznego. W Pana myśli, nie tylko „płynnonowoczesnej”, widać – zaryzykujemy – istotny element marksistowski na poziomie metodologicznym. Można Pana uznać za wyśmienitego dialektyka (pamiętając, że istnieje długa tradycja niemarksistowskiej dialektyki), nie obawiającego się paradoksów, a także ujmujący rzeczywistość przez pryzmat dynamicznej interakcji między sprzecznymi tendencjami. Czy rację miał Engels, że „temu, czego chce każda poszczególne jednostka, przeszkadza każda inna i to, co wynika, jest czymś, czego nikt nie chciał” (Engels 1949: 20)?

- Miał rację Engels, tę myśl wypowiadając, ale myśl ta może się pochwalić przedługim rodowodem (podobnie jak nie zanoszą się ani na to, by miała przejść na emeryturę, ani też na to, by pobudziła ludzi do takiej rewizji swego sposobu zbiorowego życia, która by uczyniła zbędnym jej powtarzanie – a więc w sumie na to, by rychło przestała być głosem wołającym na puszczy).

A że powtórzę: za „-istę” jakiegokolwiek maści, a więc w tym i za „marksistę”, nie uważam się. Przyznaję, że biorę od „szkół” to, co pomaga mi w rozumieniu świata i jego psycho-socjalnych mechanizmów, nie oglądając się na lojalności grupowe; a także, o ile się da, bez tzw. „dobrodziejstwa inwentarza”. Idee w moim przekonaniu nie podpadają pod kryteria własności prywatnej (jeśli ty mi dasz dolara i ja ci dam dolara, każdy z nas mieć będzie po *jednym* dolarze; jeśli zaś ja ci dam myśl i ty mi dasz myśl, każdy z nas mieć będzie po *dwie* myśli...). Myśli rozmnażają się w wyniku ich darowania i tym się różnią zasadniczo od dóbr, które rozdawanie uszczupla.

Przyznaję jednak także, że metoda, jaką sobie w ciągu lat wypracowałem i staram się pilnie, choć ze zmiennym tylko powodzeniem, praktykować – jaką nazywam „hermeneutyką socjologiczną” – jest w jakimś stopniu proweniencji Marksowskiej. Łączy ją jakieś, choć niejednoznaczne i

dyskusyjne, pokrewieństwo z Marksową dialektyką bazy i nadbudowy, i bez mojego uprzedniego treningu w wywodzeniu świadomości z bytu pewnie i nie miałyby szansy się wyłonić. Ale też zawdzięcza ona wiele inspiracji Antonio Gramsciego, a w szczególności jego pojęcia „filozofii hegemonicznej”.

Amira Hass, izraelska dziennikarka, która od wielu lat mieszka na Zachodnim Brzegu, twierdzi, że nadrzędnym celem dziennikarzy powinno być monitorowanie ośrodków władzy – politycznej, ekonomicznej czy ideologicznej, zwłaszcza wtedy, gdy władza kłamiąc dąży do wojny, na której jedni będą zabijać, inni – będą zabijani. Czy nie uważa Pan, że to mógłby być to dobry opis misji uczonych z dziedziny nauk społecznych i humanistycznych? Pamiętając, rzecz jasna, że w dobie tak zwanej wojny z terrorem, zaciera się granica między wojną a pokojem, stanem normalnym a stanem wyjątkowym.

- Socjologia, która w moim przekonaniu winna w warunkach indywidualizacji społeczeństwa stać się „wolnościologią”, jest z natury rzeczy uprawniona, a i wręcz zobowiązana, do „patrzenia państwu (jak i wszystkim innym mocom wolność krępującym) na palce”. Ale zgodnie z tym powołaniem winna też dociekać działań „władzy uwewnętrznionej”: jej wpływu na kształt dominującego typu charakterów, których funkcją jest dokonywanie wyborów spośród zestawu opcji dostarczonego/umożliwionego/limitowanego przez „los” (czyli zbiór realiów przez jednostkę, budowniczego i właściciela „charakteru”, niewybranych – a i w zasadzie niewybieralnych, jako że usadowionych twardo poza zasięgiem jej kontroli). Los ustala opcje, charakter wśród tych opcji wybiera – ale „uwewnętrzniona władza” losu manipuluje prawdopodobieństwem wyłonienia się, adopcji i absorpcji różnych typów charakteru. Pisałem o tym obszerniej w „Art of Life” (Bauman 2008).

Kiedy kilka lat temu porównał Pan w jednym z wywiadów mur, który budują Izraelczycy, aby odseparować się od Palestyńczyków, do muru w getcie warszawskim, posypały się na Pana głowę rozliczne głosy krytyki. Co znamienne, najbardziej zajadłe były te, których autorami byli ludzie opętani obsesją na punkcie Żydów, oskarżający Pana o antysemityzm. Z jednej strony można by przejść nad tym do porządku dziennego, jako na typowym przykładem ignorancji. Nie jest przecież tajemnicą, że izraelski premier David ben Gurion określał późniejszego premiera państwa żydowskiego – Menachema Begina – mianem „rasisty” i „hitlerowca”, a pewien izraelski oficer w poprzedniej dekadzie podkreślał, że w ujarzmieniu Palestyńczyków powinno się wziąć przykład z armii niemieckiej, zwalczającej bunt w getcie warszawskim (Goldberg 2009: 118). Z drugiej jednak nie sposób wykluczyć, że – przynajmniej dla części świata – Izrael wyznacza pewien standard, będąc wzorcem

przedkładania bezpieczeństwa fizycznego (*safety*) nad bezpieczeństwem społecznym (*security*) (Czapnik 2009). Można przypuszczać, że to, co początkowo miało na celu podporządkowaniu ludów skolonizowanych, z czasem zostanie wykorzystane do okiełznania klas niebezpiecznych w metropoliach. Podstawowe współczesne narzędzia inwigilacji (odciski palców, przeprowadzanie spisów, tworzenie map i profilowanie), włącznie z poprzednikami dzisiejszej biometryki, były stworzone przez kolonizatorów – Holendrów w Azji Południowo-Wschodniej, Francuzów w Afryce i Brytyjczyków w Indiach i Ameryce Północnej (Zureik 2016: 98).

- Państwo Izrael (umyślnie i planowo, czy też siłą logiki wieloletniej okupacji i wielowymiarowej dyskryminacji etnicznej) uczyniło stan wojny permanentnej osią wspomnianej wyżej „filozofii hegemonicznej”. Z tego tytułu jest przypadkiem wśród państw współczesnych szczególnym (choć nie całkiem wyjątkowym). Nie wskazanymi przeto byłyby ekstrapolacja szczególnie izraelskich powodów do „monitorowania władzy państwowej” na wszystkie inne organizmy państwowej natury i podnoszenie ich do rangi reguły powszechnej.

By się pokusić o przyłapanie i odsłonięcie tendencji w strukturze i narzędziach współczesnej dominacji szeroko rozprzestrzenionych i długofalowych (na razie skrytych pod pokrywą „pojęć-zombich”, jak je trafnie nazwał Ulrich Beck; lub pojęć jakie winny by używane *sous rature*, ale nie są – jak wytykał Jacques Derrida tym, którzy się nimi posługują, czyli w gruncie rzeczy nam wszystkim, miotającym się w sieciach filozofii na bieżąco hegemonicznej), trzeba rozszerzyć horyzonty i szukać tego, co wspólne, a nie skupiać uwagi na idiosynkrazjach. Na ostateczną syntezę owych prądów podskórnych i konstatację ich kierunku, a już tym bardziej społeczno-politycznych następstw moim zdaniem za wcześnie. Trzeba na razie poprzestać na tym, co Robert Merton określił mianem *middle-range theories* (w nader luźnym tłumaczeniu, teoretycznego odpowiednika zajazdów przydrożnych). A jest ich mnóstwo i liczba ich rośnie. Weźmy choćby pod lupę Jamesa Nye'a sugestię przechodzenia od „twardej” do „miękkiej” władzy, czy wcześniej jeszcze sformułowane przez Pierre'a Bourdieu twierdzenie o ewolucji technik panowania od przymusu do kuszenia i uwodzenia, od normatywnej regulacji do wytwarzania nowych potrzeb i od policyjnego nadzoru do reklamy. Pospołu z Moniką Kosterą, Jerzym Kociatkiewiczem i Ireną Bauman, też próbowałem dodać co nieco od siebie do puchnącego grona *middle-range theories*, biorąc na warsztat równie drastyczne, co powszechne przemiany w filozofii i praktyce zarządzania. No i w tle tego natłoku nowych spostrzeżeń i prób ich kondensowania, rozległa panorama rozmaitych odmian i aspektów procesu „pionowego” – „subsidiaryzacji” funkcji i odpowiedzialności organów państwowych do sfery „polityki życiowej”, w której to sferze jednostka ma być unią personalną parlamentu, władzy wykonawczej i sądu najwyższego – oraz towarzyszącemu mu procesowi „poziomego”: oddawania owych funkcji pod gestię żywiołu rynkowego.

Ale powtarzam: z syntezą przemiany w jakiej aktualnie uczestniczymy wypada jeszcze poczekać.

Z naukami społecznymi i humanistycznymi dzieje się coś bardzo złego, nie tylko w Polsce (Czapnik 2012), lecz w ogóle na świecie. Kiedyś uczeni – mniej lub bardziej świadomie – postrzegali samych siebie za osłów, które krok po kroku usilnie starają się dotrzeć do zawieszanej przed nimi na kiju marchewki – czyli prawdy. Wiadomo, że nigdy smaku tej marchewki nie zaznają, ale droga do niej jest poniekąd celem samym w sobie. Dziś uczeni to raczej świny, nade wszystko pracownicy przemysłu badawczego i edukacyjnego, pchające się do koryta pełnego grantów, pozycji eksperckich w instytucjach publicznych i prywatnych, a także publikacji w prestiżowych czasopismach. Zanikło myślenie o celach i środkach – metody i narzędzia czyni się czymś wartościowym samym w sobie. C. Wright Mills, znany z cytowania z pamięci, braku przypisów lub ich niechlujnego sporządzania, pewnie miałby na wielu uczelniach kłopot z obroną dysertacji doktorskiej, gdyby przedstawił szacownej komisji *Wyobraźnię socjologiczną* (2007). Jak patrzy Pan na to zjawisko, zwłaszcza w kontekście jedenastej tezy o Feuerbachu, której pozostaje Pan wierny od dziesięcioleci, wszak – powtórzmy za Tonym Blackshawem (2005: ix)– został Pan socjologiem, aby zmienić świat?

- Podpisuję się pod tym, co Pan tu powiedział, oburącz. Niestety wszystko się zgadza; nic ująć, choć dodawać można by w nieskończoność. Choćby to, że odwróciwszy się tyłem do ludu, ludzie wiedzy uwolnili sobie ręce w (spełnionym, spełnionym!) w oczekiwaniu łapówek od tych, których w odróżnieniu od ludu na dawanie łapówek stać. Elegancko (czyli politycznie poprawnie) zwie się to „kooptowaniem”. Albo to, że jak Michel Foucault już parędziesiąt lat temu zauważył, intelektualistów „ogólnych” wyparł nowo narodzony typ „intelektualisty specyficznego” (to pojęcie uważam jednak za niefortunne, wewnętrznie sprzeczne: człowiek stający w szranki li tylko do promowana bądź obrony własnych i pobratymców w zawodzie interesów, nie jest z definicji intelektualistą). Albo i to, że większość ludzi wykształconych garnie się dziś do lukratywnych pozycji „ekspertów” – a już pradawna mądrość ludowa zauważyła, że kto opłaca eksperta, układa melodię, jaką ekspert wyśpiewuje. Na każdą opinię znajdują się dziś eksperci do jej potwierdzenia, i na każde roszczenie firmy znajdują się eksperci od argumentowania na jego rzecz (oczywiście jeśli firmę stać na zakup własnych ekspertów).

Kiedy rozmawia się z Panem, to – co jest dość zrozumiałe, w kontekście rozległości Pana zainteresowań i pokaźnej liczby publikacji – to ma się wyrobione już wcześniej jakieś o Panu zdanie. Dla jednych jest Pan wrażliwym liberałem, zatroskanym o zrozumienie Innego, dla drugich człowiekiem, który opisuje świat w sposób metaforyczny, wręcz niekiedy poetycki. Zastanawiam się, czy jest takie pytanie, na które zawsze chciał Pan odpowiedzieć, lecz nigdy

ono nie padło? A może otworzyłoby pole do nowych rozważań, które nie byłyby tak oczywiste, jak zdaje się Pana rozmówcom i/lub czytelnikom? Jestem pewny, że jest Pan jeszcze w stanie zaskoczyć odbiorców swej twórczości!

- Pytaniem, na jakie zawsze chciałem odpowiedzieć”, i nadal chcę, i do śmierci chciałbym (niestety, najprawdopodobniej nadaremnie), jest pytanie bynajmniej nie nowe, a zadawane od niepamiętnych czasów i adresowane i do mnie osobiście w sekcji pytań i odpowiedzi po każdym niemal z moich publicznych odczytów: „Jak słowo ciałem uczynić”. Gorzkim żalem mnie napawa, że za każdym razem gdy to pytanie padnie nie pozostaje mi nic innego niż rozłożyć, na znak mej bezradności, ręce. Na to tylko mnie stać, by powtarzać w kółko za moim ulubionym powieściopisarzem i filozofem José Saramago (2010: 16):

Nuży mnie słuchanie samego siebie. To, co się może zdawać innym ludziom nowością, dla mnie stało się z biegiem czasu odgrzewaną zupą. Gorzej jeszcze: pozostał mi gorzki smak w ustach spowodowany pewnością, że garść sensownych rzeczy jakie w swym życiu wypowiedziałem okazało się w końcu absolutnie bez konsekwencji.

Doszedłem nawet do przekonania, że każdy kto twierdzi, iż posiada patentowaną receptę na ów majstersztyk pokrewny temu, o jakim alchemicy prze wieki śnili, jest z umysłu lub ignorancji hochsztaplerem... Obym się tu mylił! Jak dotąd jednak, na próżno wyczekuję rzeczowych mej pomyłki dowodów.

Dziękuję za rozmowę.

Bibliografia

- Bauman Z. (2006a). *Płynna nowoczesność*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Bauman Z. (2006b). *Prywatne zgrzyoty na miejskim rynku*. [w:] J.P. Hudzik, W. Woźniak (red.). *Sfera publiczna. Kondycja – przejawy – przemiany*. Lublin: Wyd. UMCS.
- Bauman Z. (2007). *Płynne czasy. Życie w epoce niepewności*. Warszawa: Sic!
- Bauman Z. (2008). *Art of Life*. Cambridge – Malden, MA: Polity Press.
- Bauman Z. (2010). *Socjalizm. Utopia w działaniu*. Warszawa: Wyd. Krytyki Politycznej.
- Bauman Z. (2013). *Does the Richness of the Few Benefit Us All*. Cambridge – Malden, MA: Polity Press.
- Bauman Z., Tester K. (2003). *O pożytkach z wątpliwości. Rozmowy z Zygmuntem Baumanem*. Warszawa: Sic!
- Blackshaw T. (2005). *Zygmunt Bauman*. Abingdon: Routledge.
- Brooks A., Collins G. (2016). *What Is This Thing Called Populism?* „New York Times”, 5 kwietnia, <http://www.nytimes.com/2016/04/05/opinion/campaign-stops/what-is-this-thing->

called-populism.html?emc=edit_ty_20160405&nl=opinion&nid=43773237&_r=0

[31.03.2016].

- Czapnik S. (2009). *Bezpieczeństwo (security) kontra bezpieczeństwo (safety). Odmienne postrzeganie zagrożeń* [w:] E. Trela-Mazur (red.). *Problemy bezpieczeństwa współczesnego świata*, Opole: Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, s. 71-88.
- Czapnik S. (2012). *Cztery jeźdźcy apokalipsy polskiej nauki i szkolnictwa wyższego: utowarowienie, technokratyzacja, alienacja i konformizm*. [w:] P. Żuk (red.). *Wiedza, ideologia, władza. O społecznej funkcji uniwersytetu w społeczeństwie rynkowym*. Warszawa: Scholar, s. 73-96.
- Elliott L. (2016). *Richest 62 people as wealthy as half of world's population, says Oxfam*. „Guardian”, 18 stycznia, <http://www.theguardian.com/business/2016/jan/18/richest-62-billionaires-wealthy-half-world-population-combined> [31.03.2016].
- Engels F. (1949). *Engels do Józefa Blocha. Londyn, 21 września 1890 r.* [w:] K. Marks, F. Engels. *O materializmie historycznym*. Warszawa: Książka i Wiedza.
- Goldberg D.T. (2009). *The Threat of Race Reflections on Racial Neoliberalism*. Malden, MA: Blackwell.
- Kaletsy A. (2016). *What's Next For Global Capitalism When Things Fall Apart?* „Social Europe”, 1 kwietnia, <https://www.social europe.eu/2016/04/whats-next-for-global-capitalism-when-things-fall-apart/> [03.10.2016].
- Kołakowski L. (2002). *Pochwała niekonsekwencji. Pisma rozproszone sprzed roku 1968*. London: Puls.
- Mills C.W. (2007). *Wyobraźnia socjologiczna*. Warszawa: PWN.
- Rose J. (2009). *A Piece of White Silk*. „London Review of Books”, vol. 31, no. 21, <http://www.lrb.co.uk/v31/n21/jacqueline-rose/a-piece-of-white-silk> [31.03.2016].
- Smith D. (1999). *Zygmunt Bauman. Prophet of Postmodernity*. Cambridge: Polity Press.
- Saramago J. (2010). *The Notebook*. London – New York: Verso Books.
- Weizman E. (2007). *Hollow Land. Israel's Architecture of Occupation*. London – New York: Verso Books.
- Zureik E. (2016). *Israel's Colonial Project in Palestine. Brutal Pursuit*. Abingdon: Routledge.